

Agrafka

Autor: Izabela Sowa
(fragment powieści)

Północ, pociąg relacji Gdynia–Kraków. Na korytarzu mama, tato, córka Ola i zasadniczy pan konduktor.

– Jak to legitymacja, po co legitymacja? – dziwi się tato.

– Stanowi dowód, że córce jako uczennicy przysługuje prawo do zniżki.

– Panie, przecież ona ma czternaście lat, podlega obowiązkowi szkolnemu jak każde dziecko w tym kraju!

– Nic nie poradzę, takie są przepisy – odpowiada zasadniczy pan konduktor.

– Przepisy, przepisy – przedrzeźnia tato. – Będziesz, Ola, sama płaciła za ten bilet. Z kieszonkowego ci potrączę, jak wrócimy!

– Ale, tato! – piszczy córka Ola. – Ja już nie mam ani grosza! Obciąłeś mi na dwa miesiące do przodu!

– Bo idiotka jesteś! Do kwadratu! Z torbami rodzinę puścisz, tyle ci powiem!

~

Mój tata nigdy by tak nie postąpił. Nigdy nie wrzeszczy, nie wyzywa ani nie poniża, ale rozmawia, argumentuje i tłumaczy. Jak człowiekowi. Podobnie mama, zawsze otwarta na dialog. W moim domu nikt nikogo nie kaleczy. Ani słowem, ani czynem. A jednak ciągle się czegoś boję. Zupełnie bez powodu. Przecież mieszkam w małej Krainie Wielkiej Łagodności. Wystarczy zerknąć na moje osiedle. Podłeśne.

– Bloki emerytów i rencistów – zachwyca się babcia – gdzie panuje ład i porządek. Gdzie ściany mają uszy, a okna – oczy.

– Dzięki temu jest bezpiecznie – wtrąca mama.

Wprawdzie podczas nowiu giną nam z piwnic rowery, ale zdaniem mamy to sprawka Obcego. Kogoś Spoza.

– Pewnie przychodzi z tych okropnych blokowisk nad Sanem – dodaje tata.

– Na pewno – odzywa się wujek Darek. – Bzdyra mi opowiadał, co tam się wyrabia. – Wujek ochoczo przystępuje do wyliczanki: piątkowe noce długich noży, sobotnie mordobicia, niedzielne kace z towarzyszącą im wścieklicą wszechpol...

– Nie chcemy tego słuchać – przerywa mama. – Zwłaszcza że n a s ten problem nie dotyczy. U n a s bowiem mieszkają sami przyzwoici ludzie.

Tacy, którzy odpowiadają na „dzień dobry”. Czasem nawet z uśmiechem. Dlatego właśnie przeprowadziliśmy się tutaj, dziesięć lat temu, z ponurych Niziołków. Wybraliśmy (to znaczy mama wybrała) osiedle Podleśne, bo słońce świeci tu jaśniej i dłużej, trawa jest bardziej zielona niż ta za Sanem, a ludzie na poziomie. Jeśli nawet trafi się żulik, jest nad podziw spokojny. Prezentujący, zdaniem rodziców, dużą kulturę picia. Co oznacza, że spożywa swoje wino powszednie w ciszy czterech ścian własnej piwnicy. Albo w ogródkach działkowych. Tych za miastem.

– Nigdy nie wystaje z butelką pod sklepem monopolowym – podkreśla tato.

Inna sprawa, że na naszym osiedlu nie ma takiego sklepu. Nie ma też ławek ani placu zabaw, żeby nikt wieczorami nie hałasował. A więc staruszki, które robią za domowe przedszkole, muszą drałować aż pod kino. I to wczesnym rankiem, by wywalczyć dla wnuków najatrakcyjniejszy kawałek piaskownicy.

– Mają trochę ruchu, a przy tym mogą poznać sympatyczne osoby z innych osiedli.

Cała mama. Skupia się wyłącznie na blaskach, cienie prze-ganiając chińską miotełką. Albo rozświetlającym korektorem. A kiedy już zrobi porządek u siebie, bierze się za cudze pokoje. Dlatego gabinet taty ma kolor relaksującej zieleni, moja sypialnia zaś odcień żółtek z kurzej ферmy. Mama nazywa go kanarkowym, przypominając przy każdej okazji, że dodaje pozytywnej energii. Salon jest utrzymany w odświeżającym błękicie, a kuchnia w apetycznych oranżach. W całym mieszkaniu trudno znaleźć ostre krawędzie; ukryto je pod specjalnymi nakładkami z plastiku. Na ścianach wiszą wyłącznie pogodne widoczki. Wschód słońca nad jeziorem, zachód w górach, wiosenna łąka w samo południe. I uśmiechnięte dziewczynki-aniołki w białych sukienkach. W łazience nie ma pustych opakowań, a w lodówce przeterminowanych wędlin. Wszystko świeże, błyszczące i przyjemne w dotyku.

A mój pokój to już istna perełka. Budzi podziw każdego, kto tu zajrzy pierwszy raz. Przy wejściu gościa wita cudne, kremowe biurko stylizowane na wiktoriański sekretarzyk, po prawej fotel, na którym mogłaby bujać w obłokach Ania z Zielonego Wzgórza. Kiedyś należał do mojej siostry, ale odkąd wyjechała, stoi u mnie. I wreszcie odpoczywa; ja wolę siedzieć na zwykłym krześle. Najlepiej oparciem do przodu, wtedy człowiek przyjmuje właściwą pozycję ciała.

– A nie ma nic ważniejszego od postawy – powtarzają rodzice. – I tak zwanego kręgosłupa.

Wróćmy jednak do mojego pokoju. Co tu jeszcze mamy? Witrynkę retro, pełną bardzo mądrych książek. Na klonowych panelach puszy się dywan w złote kaczeńce, mięk szy niż

niejedna koldra. Tuż koło okien stoi kremowa komódka na przydaśki, a wszystkie te cuderka wypinają się na tle kanarkowych ścian, które poza tym, że energetyzują (wyłącznie pozytywnie), mają mnie motywować do działania. To bardzo ważne, kiedy człowiek musi sprostać dziesiątkom obowiązków. Nowa szkoła, basen, angielski, korki z historii, lekcje skrzypiec i warsztaty rzeźbienia w glinie. Te ostatnie podobno wspomagają mój rozwój umysłowy. Tak oznajmił tato, oświecony porannym programem na kanale Discovery. Dłubię więc w glinie dwie godziny tygodniowo tylko po to, żeby efektywniej przyswajać wielkie kęsy wysokokalorycznej wiedzy. Co ja mówię, wielkie. Megakęsiory, jak dla wygłodniałej słonicy. Aż dziw, że mnie jeszcze nie zemdlilo. Pewnie dzięki tej glinie. Ale od czasu do czasu mam ochotę urządzić „strajk głodowy”. Walnąć podręczniki w ką, grzotnąć się na tapczan i zbijać baki przez okrągły tydzień. A nawet dwa! Żadnych lekcji, sprawdzianów, żadnego zakuwania. Pustka w głowie!

Wystarczy jednak, że poleżę godzinkę, a już mnie dopada strachulec, że nie zdążę nadrobić zaległości. Że będę o te cztery kwadransy do tyłu. Zrywam się wtedy na równe nogi, otwieram na chybił trafił podręczniki, a potem faszeruję się wiedzą. Garściami wpycham w siebie mdłe definicje i ciężkostrawne wzory. Coraz więcej i więcej, byle nadrobić stracony czas. Zwykle udaje mi się ciutkę podgonić. I mam w zanadru kilka minut. Na wszelki wypadek.

Nie, to nie jest żaden wyścig szczurów. W wyścigu człowiek ciągle ogląda się do tyłu albo na boki. I bez przerwy się porównuje z resztą biegaczy. Tato uważa, że to niepotrzebne marnotrawienie energii.

– Powinnaś skupić się wyłącznie na sobie – przypomina.

– Na własnym rozwoju.

Czyli na wchłanianiu. Bo im więcej przyswoję teraz, tym większy będę miała wybór kiedyś.

– A wybór oznacza wolność – tłumaczy mama. – Chyba jedyną, jaką możemy osiągnąć.

Dawniej trzeba było o nią walczyć, dziś jest na wyciągnięcie ręki. Pod warunkiem że się trochę postaram. Przysiędę fałd, popracuję, wykorzystam daną mi szansę. A więc żaden wyścig, raczej inwestycja. Wieloletnia, ale wyrabianie przepustki do lepszego życia musi potrwać. Za to, kiedy już się uda, czekają na człowieka same fajne rzeczy. Stylizowane meble, nowa terenówka co trzy lata, markowe ubrania na każdy sezon, dwupoziomowy apartament i na deser wakacje. Na południu albo za kołem polarnym. A poza tym podziw bliskich, szacun sąsiadów i zazdrość kumpli z Naszej Klasy. Nawet tych, których się ledwo pamięta.

– Zwłaszcza tych – podkreśla tato, napomykając, że ich z mamą stać było tylko na Balaton.

Warto się postarać. Dla wyboru, dla wolności i wczasów na Barbadosie. Czasem jednak, kiedy pomyślę o odległej przyszłości, ogarnia mnie straszliwy lęk. Co się stanie, kiedy już

dobiegnę do celu? Gdy pokonam wszystkie poziomy i niczym Lara Croft ukończę misję? Stanę na szczycie stromej góry i zawołam: „To wszystko?! Tylko tyle?! Nic więcej?!”.

Zaraz jednak dopadają mnie wyrzuty sumienia. Wobec rodziców, bo tak się starają. Tyle dla mnie robią, żebym mogła się skupić na wspinaczce. A ja co? Zamiast czuć wdzięczność, ciągle się telepię jak osika. Przechlapane. Więc żeby nie dokładać im zmartwień, staram się udawać Zenkę. Zenka to w naszym szkolnym slangu mistrzyni małomiasteczkowego zen. Taka robi, co do niej należy. Nie rozgląda się na boki, nie nurkuje głębiej, niż to konieczne. I szuka dziury w płocie tylko wtedy, kiedy nie może go przeskoczyć. Cieszy się ze swojej szansy, a o tych danych komuś innemu po prostu nie myśli. Robię więc za Zenkę tu i tam, przez co moje życie społeczne bardzo się upraszcza. Tylko raz wypadłam z roli. Ale w drugiej gimnazjum każdy ma prawo do potknięć...

AGRAFKA

Przed andrzejkami Caro przyniosła do szkoły prawdziwy marokański khol, czarniejszy niż nasze myśli.

– Dostałam od kuzynki z Poznania – wyjaśniła, malując nam na przerwie próbne kreski.
– Podobno jej się znudził. Znudził! Możecie to sobie wyobrazić?

Nie mogliśmy. Absolutnie!

– I jak? – zapytała, machnąwszy ostatnią krechę. Zerknęliśmy w lustro. Ja, Edzia, Karolcia z drugiej be, Karolcia mała, Karolcia duża, nasza Karolcia, zwana Caro, i Wiki Janiak. Siedem ubranych na czarno postaci z oczami jak Bill Kaulitz z Tokio Hotel.

– Rewelka – oznajmiłyśmy jednocześnie, natychmiast ścierając zachwyt z naszych bladych twarzy. Emo nie może się ekscytować, nawet czymś tak istotnym jak dobrze wykonany makijaż gotycki.

Przez następne dwa tygodnie malowałyśmy się po lekcjach i szłyśmy do Galerii Podleśnej, żeby rzucać pogardliwe spojrzenia zadowolonym z siebie zakupoholiczkom. Chyba że były wyprzedaże, wtedy same buszowałyśmy wśród wieszaków. Ale z bardzo ponurymi minami. Po powrocie do domu zmywałam szybko tusz. Nie to, że rodzice. Po prostu styl emo nie pasuje do pastelowych ścian. Ale nawet z twarzą jasną i czystą jak kwietniowe słońce czułam, że moje wnętrze wypełnia potężna gradowa chmura. Rodzice zauważyli zmianę po tygodniu. Ostentacyjnie człapiąc przez salon, oczekiwałam, że będą dopytywać, drażnić, może nawet

nieudolnie pocieszać. Nic z tego! Zachowywali się jak zwykle. Zupełna znieczulica, uznałam, płacząc w ciemnej łazience. W akcie desperacji wbiłam sobie agrafkę w lewe ucho. Bez znieczulenia! Trzy dni później postanowili porozmawiać. Niedziela, duży pokój, nasz kwadratowy Okrągły Stół, a przy nim w regularnych odstępach: mama, tato, Weronika – moja starsza siostra, zwana Pierwszą, babcia, wujek Darek, ja i moje spuchnięte ucho.

– Zrobiliśmy rodzinną naradę – zaczął tato. – I wspólnie ustaliliśmy, że powinnaś też przebić prawe ucho.

– Koniecznie – wtrąciła siostra. – Inaczej będziesz wyglądała jak Van Gogh.

– Niby dlaczego?

– Sądząc po rozmiarze i barwie lewej małżowiny, czeka cię amputacja.

– Na moje oko za jakieś trzy dni – ocenił wujek. – Nie jest to ciężki zabieg, o ile nie natną za głęboko. Choć zdarzały się przypadki, że chirurg przebił się aż do migdałków.

– Darujmy sobie szczegóły – odezwała się mama. – Ważne, Słonko, że zostaniesz bez ucha. A z jednym nie każdemu do twarzy.

– Więc lepiej pozbyć się drugiego, dla symetrii – zakończyła Pierwsza, wręczając mi ogromną stalową agrafkę. – Przebijamy tu czy w łazience?

Przez długą chwilę mierzyliśmy się spojrzeniami. Jeszcze minuta i rozlegną się salwy śmiechu. A tego nie zniesie żaden szanujący się emo.

– Nikt mnie nie rozumie, nikt! – rzuciłam, zrywając się od stołu. – Zwłaszcza wy!

– Do końca szkoły jej przejdzie – usłyszałam spokojny głos Pierwszej. – Może nawet wcześniej. Pamiętacie, jak w gimnazjum przedziurawiłam sobie język?

Pierwsza miała rację. Pewnego wrześnieowego poranka wy-gramoliłam się spod kołdry i pstryk! Było po wszystkim. Chmura gradowa zniknęła, został jedynie cykor przed testem z matmy. Przez następne tygodnie usiłowałam robić dobrą (to znaczy chmurną) minę do złej gry. Parę razy ostentacyjnie zamknęłam się w szafie mamy, żeby wycisnąć kilka łez czarnych od jej tuszu. Nic z tego! To tak, jakby wskrzesić dawno wystygłe zauroczenie. Żeby się człowiek napinał z całych sił, nie poczuje niczego poza narastającą irytacją. Zresztą straciłam motywację do napinania, bo Karolcia z drugiej be sprzedała nam newsa, że styl emo to obciach i zabawa nowobogackich dzieciaków ze strzeżonych osiedli. A zaraz potem zaczął się hardkor w szkole i przestałam nawet malować oczy. Nie było kiedy. Zresztą rano przed lekcjami ręce trzęsły mi się tak, że bałam się skuchy. Jeden fałszywy ruch i masz ołówek w żrenicy.

...A teraz prawie się nie maluję. Chyba że na imprezy, wtedy wiadomo. Puder,

błyszczący, tusz. Czasem korektor, żeby zamaskować niespodziewany gejzer na czole albo sińce od niewyspania.